NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 494·— Marek, Półrocznie 998·— Mk. Rocznie 1976·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petitowy w części redakcyjn. 50 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 40 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 17 września 1921. Nr. 38.

Powstanie Hindusów przeciw Anglikom



Powstańcy atakują Anglików w jednej z miejscowosci indyjskich.

Powstanie Hindusów przeciw Anglikom.

(Do illustracyi tytułowej).

Indye, ta prawdziwa „perła w koronie wielkobrytyjskiej", są równocześnie przedmiotem ciągłych trosk i kłopotów rządu angielskiego, który za każdą cenę usiłuje utrwalić tam swe panowanie, lecz spotyka się na każdym kroku z tajonym i jawnym oporem miejscowej ludności, dążącej wszelkimi sposobami do skruszenia pętów niewoli, krępującej ją od lat. Niewola to ciężka, gdyż Anglia wobec podbitych narodów występowała zawsze z całą bezwzględnością, a zwłaszcza w Indyach wszelkie porywy wolnościowe tłumiła w potokach krwi. Nienawiść Hindusa do ciemiężcy Anglika z biegiem czasu nie osłabła bynajmniej, owszem z roku na rok potęgowała się coraz bardziej, a tamtejsi patryoci konspirowali i konspirują stale przeciw rządowi angielskiemu, czekając sposobności do jawnego wystąpienia przeciw niemu.

Sposobność ta nadarzyła się obecnie, a bezpośrednim powodem zamieszek, jakie wybuchły w różnych miejscowościach indyjskich, były sprawy natury ekonomicznej, będące następstwem światowej wojny, to jest głód i drożyzna. Niezadowolenie ludności wyzyskali na swą korzyść kierownicy ruchu antiangielskiego w Indyach i rozruchy głodowe przybrały charakter polityczny, ogarniając coraz to dalsze obszary, a mając za hasło „Indye dla Hindusów! Precz z psami angielskimi!".

Obecny ruch w Indyach ma dwa podłoża, jednem z nich, to wrodzona nienawiść rasy żółtej do białej, drugiem idee bolszewickie, które przedostały się i nad Ganges. Muzułmańska część Hindusów solidaryzuje się z resztą swych żółtych braci, którzy starają się o zrzucenie z siebie europejskiej hegemonii, której główną przedstawicielką jest Anglia i przeciw niej kierują swe ataki. Na rękę idą im bolszewicy, w których interesie leży, aby Anglia znalazła się w jak najkrytyczniejszem położeniu.

Rząd angielski zebrał się z całą energią do stłumienia rozruchów, wysyłając do Indyi posiłki wojskowe, zamykając szczelnie granice i oświadczając, że nie cofnie się przed żadnymi środkami, byle tylko przywrócić spokój. Sfery wojskowe angielskie są najlepszej myśli, będąc zdania, iż brak żywności i amunicyi zmusi powstańców bardzo prędko do zaniechania bezcelowego oporu, mimo, że w niektórych zwłaszcza okolicach znajdują się w bardzo dla siebie narazie pomyślnych warunkach. Innego natomiast zdania są przywódcy obecnego powstania, którzy postanowili dołożyć wszelkich starań, aby wywalczyć dla swojego narodu najzupełniejszą samodzielność, a obecną chwilę uważają za najodpowiedniejszą do przeprowadzenia swych zamiarów.

Gdyby Anglia poniosła w Indyach porażkę i nie potrafiła w bardzo krótkim czasie opanować ruchu powstańczego, byłoby to dla niej początkiem końca, w ślad bowiem za Hindusami poszłyby, zachęcone ich powodzeniem, i inne podbite i również uciskane narody, do których uszu i serc dotarła z Europy wieść, że Anglia jest zwolenniczką zasady samostanowienia narodów o swym losie. A o los ten trzeba się starać nieraz i z bronią w ręku.

Francuski gość w Małopolsce.

W ubiegłym tygodniu powitaliśmy w murach naszego miasta sympatycznego gościa, który przybył pomiędzy nas, jako znany nasz przyjaciel, aby zwiedzić osobliwości podwawelskiego grodu, Wieliczkę i Zakopane, a zarazem stwierdzić, że z narodem polskim wiążą go serdeczne nici przyjaźni i uznania dla naszej zachodnio-europejskiej kultury. Był nim francuski jenerał dywizyi Dupont, przewodniczący Międzysojuszniczej Komisyi dla wytyczenia granic między Polską a Niemcami.

Jenerał Dupont pochodzi z Nancy, gdzie wychował się w tradycyach szczerej sympatyi dla Polaków. Przed wojną przydzielony był do ambasady francuskiej w Berlinie, po jej wybuchu pełnił obowiązki szefa oddziału w paryskiem ministerstwie wojny.

Francuski gość przybył do Krakowa samochodem w towarzystwie swej małżonki i córki, gdzie zamieszkał w Grand Hotelu. Kilkudniowy pobyt w Krakowie przeznaczyli francuscy goście na zwiedzanie pamiątek i osobliwości naszego miasta. We środę wieczór byli państwo Dupont w towarzystwie rektora Uniw. dr. Nowaka na zaproszenie prezydenta miasta w Teatrze im. Słowackiego na przedstawieniu „Zemsty". W przedsionku a następnie ze sceny powitał gości, którzy zajęli miejsce w loży prezydyalnej, dyr. Trzciński, orkiestra odegrała „Marsyliankę", a publiczność zgotowała im długą niemilknącą serdeczną owacyę. Nazajutrz miało to samo miejsce podczas przedstawienia w teatrze „Bagatela".

Podczas zwiedziania miasta, na co przeznaczono środę i czwartek, towarzyszył przybyłym rotmistrz hr. Pusłowski.

Dalszym ciągiem programu było zwiedzenie Wieliczki, gdzie na dworcu kolejowym imieniem miasta powitał przybyłych dyrektor realnej szkoły Naworski. Dyr. żupy solnej p. Dawidowski z inż. Obsztyńskim oprowadzali dostojnych gości przez najwspanialsze części kopalni przy dźwiękach salinarnej muzyki, która na cześć francuskich gości odegrała Marsyliankę. Przy skromnem przyjęciu przez miasto, przemówił marszałek powiatu E. Winter wznosząc toast na pomyślność gości i narodu francuskiego. Jenerał Dupont w serdecznych słowach kładąc nacisk na dawność kultury tej części Polski wzniósł toast na jej pomyślny rozkwit zapewniając o szczerych swoich i Francyi uczuciach dla całej Polski. Odjeżdżających żegnał starosta Meisner i reprezentacya powiatu i miasta.

Na zakończenie przeznaczono urządzenie wycieczki do Zakopanego.

W czasie kilkudniowego pobytu między nami spotykał się jenerał Dupont na każdym kroku z objawami szczerej sympatyi tak dla swej osoby, jak i dla bratniego narodu francuskiego, pobyt jego nad Wisłą musiał też pozostawić w sercu jego i umyśle bardzo przyjemne wspomnienie, czemu zresztą kilkakrotnie dał żywy wyraz tak w oficyalnych przemówieniach, jak i w słowach, skierowanych do swego bliższego otoczenia.



Francuski gość w Małopolsce: Jenerał Dupont z rodziną, w towarzystwie przedstawicieli władz miejscowych po zwiedzeniu kopalni w Wieliczce.

Rozpoczęcie roku szkolnego
w lwowskim Korpusie Kadetów.

Wykształcenie przyszłych oficerów dla armii polskiej, oto jedna z głównych trosk i zabiegów naszego zarządu wojskowego, dokładającego starań, aby szeregom armii czynnej zapewnić odpowiednią ilość należycie wyszkolonych jednostek. Ku temu celowi służą szkoły wojskowe, tak zwane Korpusy Kadetów, gdzie młodzież otrzymuje średnie wykształcenie wojskowe, umożliwiające jej osiągnięcie oficerskiego stopnia.

Nasze Korpusy Kadetów różnią się tem od dawnych austryackich szkół kadeckich, że, gdy te dawały swym wychowankom jedynie militarne wykształcenie, nasze starają się o to samo, lecz nie zapominają także o wpojeniu w młodzież poczucia obywatelskich obowiązków. Nie oddzielają one zatem młodzieńca, mającego zamiar poświęcić się służbie wojskowej, od cywilnego społeczeństwa, przeciwnie, od pierwszych chwilą uczą go, że obowiązkiem jego zachować z niem ścisłą łączność. Korpus Kadetów nie jest zatem wyłącznie tylko szkołą wojskową, ale równocześnie także i szkołą życia. Nie jest zatem Korpus Kadetów zakładem naukowym i wychowawczym, podległym wyłącznie wojskowości, ale należy także częściowo pod jurysdykcyę cywilnych władz oświatowych. W ten sposób zburzono ów chiński mur, który austryackiego kadeta oddzielał od reszty świata i uczył go być jedynie żołnierzem, nie liczącym się zupełnie z obywatelskimi obowiązkami, jakie i żołnierz ma wobec swego kraju i społeczeństwa. Młode pokolenie, wychowane w tych zasadach, znalazłszy się w szeregach czynnej armii, większą jej przyniesie korzyść i pożytek, niż dawny austryacki oficer, patrzący z góry i z politowaniem na „cywila", jako na indywiduum z zupełnie innej niż on ulepionego gliny.



Rozpoczęcie roku szkolnego w lwowskim Korpusie Kadetów: Uczestnicy uroczystości podczas defilady. Wpośrodku brygadyer Mączyński, arcybiskup Bilczewski i kurator Okr. Nauk. dr. Sobiński.

Rok szkolny 1922 rozpoczął się równocześnie ze szkołami cywilnemi i we wojskowych. Inauguracya nowego roku szkolnego odbyła się wszędzie bardzo uroczyście, jak o tem świadczy notatka naszego lwowskiego korespondenta, który pisze:

„Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego odbyło się z początkiem września w Korpusie Kadetów Nr. 1 we Lwowie w zakładzie wojskowym, który wzorem dawnej szkoły rycerskiej powołany jest „dla edukacyi młodzi i sposobienia jej do zdatnych usług Ojczyźnie w radzie i boju“. Uroczyste nabożeństwo z okazyi rozpoczęcia roku szkolnego odprawił ks. Arcybiskup Bilczewski, który po Mszy św. zwrócił się w serdecznych słowach do młodzieży kadeckiej i rzucił wiele myśli na drogę nowego roku szkolnego dla tych, którzy sposobią się do wojskowego zawołania. W czasie uroczystości kurator Okręgu Naukowego, p. Sobiński, nawiązując „braterstwo broni“ wychowania cywilnego z wojskowem, w przepięknych słowach mówił o tradycyi szkół rycerskich w Polsce, zatem o rycerskiej szkole Stanisława Augusta i podchorążych, którzy dźwignęli czyn listopadowy i naszkicował naczelne wskazania „katechizmu politycznego“, z którego ongi kadeci czerpali



Rozpoczęcie roku szkolnego w lwowskim Korpusie Kadetów: Defilada Kadetów.

miłość Ojczyzny i poczucie honoru. Imieniem DOG. zabrał głos pułk. Cz. Mączyński, który wspomniał o wspaniałym udziale młodzieży w obronie Lwowa. Następnie zwrócił się do kadetów major Machalski, komendant szkoły. Wkońcu kadeci odśpiewali hymn narodowy, poczem odbyła się defilada we wzorowym ordynku kroczących zastępów przed uczestnikami tej pięknej uroczystości szkolnej.

Gruzin o niebezpieczeństwie bolszewickiem.

W dniu 15 b. m. odbędzie się w Krakowie odczyt znanego działacza społecznego i wybitnego gruzińskiego literata, Sergiusza Kuruliszwili (pseudonim S. Tajfuni), przebywającego obecnie stale w Warszawie, na temat niebezpieczeństwa bolszewickiego.

Pomijając aktualność sprawy, którą prelegent poruszy w swym odczycie, a zna ją dobrze, gdyż ojczyzna jego doświadczyła jej „błogosławionych skutków“, ogólne zainteresowanie obudzić powinna osoba p. Kuruliszwili, który w swej narodowej literaturze zajął bardzo wybitne stanowisko, biorące również żywy udział w życiu społecznem. Utwory jego cechuje gorąca miłość ojczyzny, głęboka myśl, rzeczowe ujęcie przedmiotu i barwne przedstawienie, jak o tem mieliśmy się sposobność przekonać z wyjątków tłómaczonych przez Autora, władającego poprawnie językiem polskim.

Sergiusz Kuruliszwili przedstawi genezę, rozwój i skutki ruchu bolszewickiego na podstawie własnych spostrzeżeń, nie zaś wedle tego co słyszał lub czytał, a to doda jego odczytowi siły i uplastyczni przedstawione przezeń fakty.

Sympatycznego gościa powita Kraków całem sercem. Losy Gruzyi i Polski mają wiele z sobą wspólnego, oba narody ucierpiały wiele pod berłem carskich satrapów, dla obu zaświtała nadzieja lepszej przyszłości dzięki wojnie światowej, która obaliła tron Romanowów. Obecna Gruzya ucierpiała wiele od bolszewików i przed tem niebezpieczeństwem chce p. Kuruliszwili przestrzedz Polaków, z którymi sympatyzowali zawsze jego rodacy, naodwrót i my współczuliśmy zawsze dla ich nieszczęsnej doli, tak podobnej do naszej.

Żałujemy bardzo, iż nie mogliśmy umieścić w poprzednim numerze podobizny prelegenta, aby zapoznać z nim szerszy ogół, niestety, fotografię jego otrzymaliśmy już po zamknięciu numeru, list bowiem na przebycie drogi potrzebował pięć dni, gdyż szedł nie z Gruzyi, lecz... z Warszawy.

Swięto 26. pułku ułanów.

Dzień 21 sierpnia b. r. był dla 26. pułku ułanów wielkopolskich dniem uroczystym, święcono bowiem pierwszą rocznicę powstania pułku, utworzonego z dotychczasowego ochotniczego pułku ułanów nr. 215.

Na uroczystość tę przyozdobiło się Leszno, gdzie pułk stoi załogą, odświętnie, przybyło bardzo wiele gości z różnych okolic, licznie reprezentowanym był Poznań i okoliczne obywatelstwo.

Rano odprawił na rynku miasta mszę polową kapelan tamtejszego garnizonu, wobec całego pułku, zaproszonych gości i ludności miejscowej, która przybyła tłumnie na tą niezwykłą dla niej uroczystość. Po mszy świętej wygłosili przemowy: kapelan, burmistrz miasta i poseł Dombek oraz dowódca pułku



Gruzin o niebezpieczeństwie bolszewickiem: Sergiusz Kuruliszwili, wybitny literat i działacz społeczny gruziński.

podpułkownik Gieszkowski, poczem odbyła się defilada pułku przed komendantem, przedstawicielami władz wojskowych i cywilnych i gośćmi.

Dalszy punkt programu stanowiło śniadanie w Kasynie oficerskiem, urządzone na cześć oficerów i żołnierzy byłego 215. pułku ochotniczego. Przemawiali przy tej sposobności były komendant 215. pułku hr. Mielżyński, podpułkownik Gieszkowski, hr. Breza i inni.

Po południu zaroiło się na placu ćwiczeń, gdzie o godzinie trzeciej rozpoczęły się popisy w jeździe konnej, w których wzięli udział oficerowie i żołnierze pułku. Nader licznie zebrana publiczność oklaskiwała gorąco zręczność i brawurę naszych dzielnych ułanów, którzy złożyli dowód znakomitego wyszkolenia i wysokiego poziomu rozwoju sportowego, jakim się odznacza obecny pułk 26.

W jeździe z przeszkodami wzięli udział: podpułkownik Gieszkowski (poza konkursem), major Łoziński, rotmistrz Długaszewski, porucznicy Marszewski, Riedl, Płachecki, Strzałecki, podporucznicy Gepert, Gierzyński, Onyszkiewicz, Czarnecki, chorąży George i Piątek, podchorążowie Jankowski, Barczak, Donner. Bieg myśliwski oficerski (4000 m.)



Święto 26 pułku ułanów: 1) Komendant pułku ppułk. Gieszkowski podczas defilady. Obok starosta Sobeski poseł Dombek i hr. Mielżyński. 2) Pułk podczas mszy polowej na rynku w Lesznie.

prowadził ppułk. Gieszkowski. Stanęło ośmnaście koni. Do jazdy podoficerskiej z przeszkodami stanęło piętnaście koni. Bieg myśliwski podoficerski (4000 m.) prowadził rotmistrz Długaszewski. Stanęło dziesięć koni.

Bieg myśliwski ułański (4000 m.) prowadził por. Marszewski. Stanęło dziewięć koni.



Święto 26 pułku ułanów: Jury konkursu hippicznego i biegów myśliwskich: 1) Hr. Mielżyński, 2) p. Kierski, 3) p. Amrogowicz, 4) hr. Breza, 5) pułk. Bogucki, 6) ppułk. Gieszkowski.



Święto 26 pułku ułanów: 1) Oficerowie i ułani na placu konkursu hippicznego. 2) Zwycięzcy konkursu i biegów.

Nagrody w jeździe z przeszkodami zdobyli oficerowie: Riedl, Onyszkiewicz, Piątek i Barczak oraz podoficerowie: wachmistrz Pasternacki, Miara, Chudy.

W biegach myśliwskich odznaczeni zostali: w pierwszym rotm. Długaszewski, por. Riedl i ppor. Gierzyński, w drugim wachm. szt. Spychalski, wachm. Nowak i kapr. Cylka, w trzecim st. ułan Wiśniowski, Jędryśkowiak i Grotowski.

Nagrody honorowe oficerskie ofiarowane były przez pp. Cioromskich, p. Elizę Ponikiewską, dowódcę pułku i korpus oficerski, nagrody dla podoficerów i żołnierzy były w gotówce.

Zakończeniem uroczystego dnia był wspaniały raut w salach Kasyna oficerskiego. Obszerne sale zaledwie pomieścić mogły przybyłych. Bawiono się znakomicie do białego rana, uczestnicy rozjechali się pod wrażeniem prawdziwie przyjemnie spędzonych chwil wśród naszej dziatwy Marsa, która dowiodła nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni, że równie dzielnie spisuje się na polu walki, jak i na sali balowej, że jest innemi mówiąc słowy „i do tańca i do różańca".

Ofiara niemieckich reakcyonistów.

(Do illustracyi na stronie 9.).

Ruch monarchistyczny i połączony z nim odwetowy, skierowany przeciwko Francyi, występuje w Niemczech coraz jawniej, a to dzięki Anglii, która Niemców upatrzyła sobie jako rękę, przy pomocy której ma kierować sprawami europejskiego kontynentu. Czując takie poparcie za sobą, reakcyoniści niemieccy podnoszą coraz butniej głowę, śpiewają publicznie *Heil dir im Siegeskranz* i spoglądają z tęsknotą w stronę Doorn, gdzie, otoczony obecnie drutem kolczastym, czeka excesarz Wilhelm rychło wierni poddani powołają go z powrotem na tron, a tymczasem śle im telegramy, aby podtrzymać w nich patryotycznego ducha.

Rząd republikański nie zdawał sobie widocznie dotąd sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi z tej strony, lub też może nie czuł się na siłach, aby wystąpić energicznie przeciw zakusom, grożącym nie tylko przeciw porządkowi w Niemczech, ale i ogólnej równowadze światowej. To jego stanowisko uzuchwalało jeszcze bardziej reakcyonistów, nie liczących się z nikim i z niczem, owszem żądających, aby się z nimi liczono i do ich życzeń stosowano, gdyż oni są wyobrazicielami idei germańskiej, mającej zawładnąć całym światem.

Przeciągnięto jednak strunę... Morderstwo dokonane na pośle do Sejmu Rzeszy, Macieju Erzbergerze, przywódcy katolickiego centrum, otworzyło Niemcom oczy na grożące niebezpieczeństwo. Erzberger padł ofiarą swych przekonań politycznych, uważany przez nacyonalistów za głównego sprawcę poniżenia, jakiego doznały Niemcy w r. 1918, gdyż on był tym, który zawieszenie broni uzyskał i jego warunki podpisał. Od tego czasu był on celem napaści ze strony reakcyonistów, urządzono nawet zamach na jego życie. Po procesie, jaki miał z Helferichem, usunął się na jakiś czas z widowni życia politycznego, obecnie wrócił doń, ale tylko po to, aby znaleźć śmierć z ręki jakiegoś reakcyjnego skrytobójcy.

Wiadomość o śmierci Erzbergera podziałała elektryzująco na opinię niemiecką, przywodząc jej przed oczy niebezpieczeństwo, grożące ze strony rozwielmożnionego reakcyonizmu. W dzień pogrzebu Erzbergera odbyły się w całych Niemczech masowe manifestacye republikańskie, które rządowi dra Wirtha dodały odwagi do energicznego zwalczania ruchu monarchistyczno-reakcyjnego.

Poseł Maciej Erzberger zamordowany został dnia 26 sierpnia b. r. w Griesbach, miejscowości kąpielowej, gdzie bawił u swojej matki. Padł, ugodzony kilku kulami rewolwerowemi, a sprawcy mordu uszli i policya poszukuje ich dotąd bez skutku.

Był on z pochodzenia Wirtemberczykiem. Urodzony w r. 1875., był z zawodu nauczycielem ludowym, biorąc od r. 1896. bardzo czynny udział w życiu politycznem w szeregach katolickiego centrum. Od roku 1903 aż do ostatnich chwil był członkiem Sejmu Rzeszy, za czasów kanclerstwa



Święto 26 pułku ułanów: Zwycięzcy i uczestnicy w konkursie hippicznym i biegach myśliwskich: 1) Major Łoziński, 2) rtm. Długaszewski. 3) por. Riedl, 4) ppor. Onyszkiewicz.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

58 I.

Ale jesteś przedewszystkiem szczęśliwy dlatego, że masz Rachelę przy sobie, że może należeć do Ciebie, że przyszłość otwiera się przed Tobą jasna i pewna, bez niepokoju i lęku. I dla tej przyczyny proszę Cię mój przyjacielu o wiadomości. Przyszlij je tu, do Coves, na wyspę Wight, gdzie przepędzam dnie pomiędzy pokojem, gdzie żyłem z Maryą i jej ostatniem schronieniem, małym cmentarzem, zarosłym cudnymi kwiatami.

Mów mi o tem wszystkiem, co Cię interesuje, opisz mi swoje szczęście i nie licz się się z tem, że piszesz do człowieka zrozpaczonego. Jeżeli kiedy okręt jaki wypłynie z Coves w drodze do Włoch, to zawiezie mnie do Ciebie, abym mógł ucałować rękę twojej najdroższej i przynieść jej ostatnie błogosławieństwo matki. Marya nie była już młodą, a Rachela wchodzi w życie zaledwie, ale zanadto czciłem Maryę, by nie kochać istoty, którą ona kochała i do której zwracała się zawsze myślą i duszą.

Zjawię się więc u was którego dnia, ale nie wiem jeszcze kiedy. Ręka Boża tak zaciężyła nad istnieniem mojem, że nie widzę już żadnej drogi przed sobą. Zapewnie już drogi żadnej niema dla mnie w życiu. Czekać będę tylko, aż śmierć nadejdzie i uwolni mnie od mojej rozpaczy.

Często o was myśleć będę bez zazdrości i bez niechęci. Moja biedna Marya tyle mi mówiła o swojej córce, którą Markus Henner w tak okrutny sposób odsunął od niej. Ileż to razy w modlitwach wieczornych błogosławiła tej córce, której już nigdy ujrzeć nie miała. List, zaadresowany do Racheli, który wysyłam równocześnie ze spowiedzią Markusa Hennera, wyjawi Ci całą miłość, którą Marya obdarzała swoje dziecko.

Wyobrażam sobie z bólem nieopisanym, jakie głębokie mogło być szczęście nas wszystkich. Życie gnębiło nas z początku, ale potem los złączył nas w jednej, wielkiej miłości i radości. Ale niestety, wszystko się skończyło! Marya moja śpi na małym cmentarzu w Coves, kiedy żyć mogła jeszcze przy mnie, otoczona uwielbieniem i spokojem, a wykwintny światowiec, hrabia Robert Alimena, człowiek psuty przez kobiety i szczęście światowe, sceptyk, niezdolny odczuć miłości i bolu — jest teraz tylko widmem człowieka, błąkającym się po pustych pokojach willi i około grobu świeżo zasypanego — cieniem istoty żyjącej, dla której życie nie posiada już żadnej wartości i uroku. W tę noc, Ranieri, kiedy otworzyłem po raz pierwszy kasetkę zawierającą rękę uciętą — uczułem tajemnicze ostrzeżenie losu i odczułem niejasno, że przeznaczenie moje już mnie nie ominie.

Teraz już wszystko skończone!

Nie mam już nic do czynienia na tym świecie, skoro nie mogę zabić Markusa Hennera, skoro nie mogę zabić siebie, bo pewnego wieczoru miłości obiecałem jej, Ranieri, że nigdy nie ucieknę się do samobójstwa.

A teraz, drogi Ranieri, przesyłam Ci serdeczne pożegnanie. Zdziwisz się, że nie piszę „do widzenia", nieprawdaż? ale mówiłem Ci już: nie wiem, co się ze mną stanie w przyszłości, nie wiem, czy żyć będę, czy też może umrę jutro, nie wiem, czy umrę tutaj, na wyspie Wight, czy też w innym kraju dalekim. Żegnam Cię więc Ranieri. Niech Bóg błogosławi Tobie i Racheli, która jest córką mojej niezapomnianej Maryi. Robert Alimena".

Najróżnorodniejsze uczucia wstrząsały Ranierim podczas czytania tego listu, ale jedno przeważało nad wszystkiemi — zdumienie.

To, co przeczytał, było dla niego tak dziwne, tak nieoczekiwane i nieprawdopodobne, że kilkakrotnie przerywał czytanie, aby spojrzeć na Dicka Leslie, który za każdym razem czynił tylko przytakujący ruch głową na to nieme zapytanie.

Wzruszony i zdziwiony, zapytał w końcu Ranieri Dicka:

— Czy pan przybywa prosto z wyspy Wight?

— Tak, panie hrabio.

— On bardzo cierpiał?

— Niewymownie.

— Czy sądzi pan, że będzie się mógł pocieszyć?

— Nie sądzę — odparł ze smutkiem i stanowczością Dick Leslie.

— Więc on się zabije?

— Nie wiem.

— Nie wie pan! To okropne — mówił Ranieri z głębokim niepokojem w głosie.

— Obiecał jej, że się nie zabije i będzie chciał dotrzymać tej obietnicy... ale...

— Ale co?

— Hrabia Alimena prowadzi życie, które go musi doprowadzić do wczesnej śmierci.

— Przebywa ciągle na cmentarzu?

— Lub w tym pokoju, z którego ona rzuciła się na wybrzeże. Przepędza tam w samotności długie godziny.

— Czy śpi tam?

— On nie śpi wcale. Przepędza tam tylko noce, płacze, wzywając Maryi.

— Mój Boże! — jęknął Ranieri.

— Tak jest, niestety.

— A ta nieszczęśliwa istota, dlaczego rzuciła się z balkonu? Jak pan sądzi? Czy ona chciała sobie życie odebrać?

— Nie, ona nie chciała umrzeć. To on tego zażądał od niej.

— Kto?

— Markus Henner.

— W jaki sposób?

— Już oddawna w hypnotycznym śnie narzucał on swoją wolę nieszczęśliwej Maryi.

— I ona była mu posłuszną?

— Zdaje się, że tak.

— Co to za straszna tajemnica!

— Naprawdę straszna.

— I w jaki sposób, według zdania pana, dokonała się ta zbrodnia?

— Można mieć tylko przypuszczenia.

— Biedna kobieta!

— On musiał ją zahypnotyzować z odległości — rzekł w zamyśleniu Dick.

— To nie jest możliwe

— Od dwóch dni kręcił się koło willi.

— Naprawdę?

— Dowiedzieliśmy się o tem później, że przepędził dwie noce w łodzi pod oknami willi.

— Stamtąd?... sądzi pan...

— Tak przypuszczam.

— Ależ to szalone przypuszczenie!

— A jednak tak było. Czy czytał pan opis ostatnich chwil Maryi?

— Tak.

— Była walka pomiędzy nią a jakąś wolą i siłą nieznaną.

— Tak... rozumiem...

I ona w tej walce zwyciężoną została.

— Ah! Boże! to niemożliwe! to niemożliwe! — szepnął Ranieri, zakrywając twarz rękami.

Chwilę pozostał w tej pozycyi, pogrążony w głębokiem rozmyślaniu. Reszta listów, to jest manuskrypt Markusa Hennera i Maryi Kabib leżały dotąd nietknięte przed nim.

— Rachela moja utraciła matkę — zawołał nagle Ranieri, powstając szybko.

— Straciła ją nie poznawszy — dokończył poważnie Dick Leslie.

— Jakież okrutne przeznaczenie losu! A ten zbrodniarz!? Ten ohydny morderca!? Dlaczego Robert nie zabił go?

— Dowie się pan zaraz o tem — odparł tajemniczo detektyw.

— Gdzie!? jak!?

— Ze spowiedzi Markusa Hennera!

— W tym liście?

— Tak.

— W jaki sposób ten list dostał się do rąk Roberta?

— W sposób bardzo szczególny.

— Jaki! Niech pan mówi!

— Znalazł te papiery.

— Gdzie?

— Na grobie Maryi.

— Na grobie!

— Tak.

— Kiedy?

— Dziesięć dni temu.

— I któż je tam złożył?

— Kto wiedzieć może!

— Może sam Markus Henner?

— Być może!

— Więc on i około cmentarza kręcił się jeszcze po śmierci Maryi.

— Tak się zdaje... on, lub ktoś inny może.

— I cóż on mówi w tej spowiedzi?

— Niech pan sam przeczyta.

— Przyznam się panu, że jestem bardzo niespokojny i bardzo dotknięty tem wszystkiem — szepnął Ranieri. — A sam czuję się również bardzo nieszczęśliwy w tej chwili.

— Pan? Nieszczęśliwy? Mając swoją Rachelę?

— Rachela nie należy do mnie — odparł głuchym głosem Ranieri. Markus Henner zmusił ją do wstąpienia do klasztoru!?

— Ale ona z tego klasztoru wyjść może?

— Kto wie!

— Jeżeli kocha pana...

— Ten potwór wpoił w nią przekonanie, że ją zdradziłem i ona nie kocha mnie już.

— Ona jeszcze kochać pana będzie, panie hrabio — wyrzekł z przekonaniem Dick Leslie.

— Wierzy pan w to?

— Tak.

— Co pana utwierdza w tem przekonaniu?

— Przekona się pan... przekona... cud ten się stanie.

— Ale w jaki sposób, mój Boże!

— Niech pan przeczyta te dwa listy.

— Jeżeli zawierają one nowe bóle i przykrości, to wolę poczekać.

— Nie, nie, zapewniam pana.

— Jednakże Ranieri wahał się jeszcze z otworzeniem drugiej koperty, tej, która zawierała spowiedź Markusa Hennera. To wszystko, co opisał mu Robert Alimena, tak podziałało na jego umysł, że nie mógł jeszcze uspokoić się. Tymczasem Dick Leslie zapalił flegmatycznie swoją nieodłączną fajeczkę i zaczął się otaczać kłębami gęstego dymu. Ranieri zaś, jak gdyby chciał się uwolnić od suggestyi listów, leżących na biurku, powstał z fotelu i przebiegać zaczął pokój nerwowymi krokami. Po chwili zatrzymał się przed detektywem i zapytał raz jeszcze:

— Czy sądzi pan, że Alimena się zabije?

— Nie wiem — odpowiedział Dick, wyjmując fajkę z ust i patrząc rozpogodzonemi oczami w twarz młodego człowieka.

— Dlaczego go pan opuścił?

— Nie było na razie żadnego niebezpieczeństwa.

— Ale później, później?

— Później, stanie się tak, jak Bóg zarządzi — odpowiedział spokojnie detektyw.

— Czy pan powróci do Anglii?

— Tak, jak tylko mi pan da odpowiedź dla hrabiego.

— I uda się pan do Coves?

— Oczywiście...

— I pan tam pozostanie?

— Nie — nie mogę.

— Dlaczego? Czy chciałby pan opuścić Roberta w tym stanie, w jakim się znajduje?

— Opuścić? Mój kochany panie, ja mu oddałem przysługę, ale nie jestem ani jego bratem, ani przyjacielem.

— Mówi o panu, jak o swoim zbawcy.

— Jest zanadto dobry... Wszyscy Włosi mają natury entuzyastyczne... on mnie wynagrodził — szepnął Dick, który starał się ukryć przed Ranierim ogarniające go wzruszenie.

— On mówi, że usługi pana są bezcenne... I pan chce odejść od niego?

— Ja muszę zarabiać na życie, panie hrabio i nie mogę czuwać nad kimś, który może wcale nie pragnie mojej opieki.

— Oh! Robert nie może umrzeć! — zawołał Ranieri wzruszonym głosem.

— Dlaczego nie uda się pan do niego do Coves? Dlaczego nie zabierze go pan stamtąd? Dlaczego nie wyrwie go pan z tego środowiska, gdzie zamiera z rozpaczy?

Chcę to właśnie uczynić... Tak, uczynię to — wyrzekł z mocą Ranieri.

— Kiedy?

— Wtedy, kiedy Rachela Kabib będzie już należeć do mnie, tego samego dnia jeszcze wyjadę do Anglii.

— Kiedy to się stanie!? — powtórzył zapytanie Dick Leslie.

— Niestety! — zawołał Ranieri. — Ten ohydny potwór zabrał mi może moją Rachelę na zawsze! Oh! Ale ja go znajdę i zabiję, choćbym go miał szukać po świecie całym.

— Kogo? — zapytał jeszcze flegmatycznie Dick Leslie.

— Markusa Hennera.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

4)

Nie upudrowana jeszcze, nie umalowana, wyglądała dziwnie nieświeżo pomimo swej młodości. Cera jakaś zszarzała, na skroniach żółtawe smugi, usta przybladłe i spieczone.

— Uuuuu!... — ziewnęła przeciągle — ale tu zimno, nie mogła mama chociaż porządnie napalić!

— Skądże tyle pieniędzy wezmę na węgle?! Ty na swoje fatałachy więcej wydasz, aniżeli zarobisz, a jeszcze sobie biuro lekceważysz! z czego my żyć będziemy, co?

— Jakoś tam wyżyjemy...

— A gdzieżeś się wczoraj włóczyła? różnie już z tobą bywało, ale jeszcze do trzeciej w nocy to nigdy! Coś robiła? gadaj!...

— Stefa wzruszyła ramionami.

— Zapisałam się na wieczorny kurs robienia kapeluszy i to się tak długo przeciągnęło.

Matka spojrzała na nią niedowierzająco.

— Co ty tam opowiadasz?

— Niech się mama dowie, czy ja nie byłam wczoraj w magazynie mód „Madame Anna".

Łączkowej jakoś nie chciała się pomieścić w głowie ta nocna nauka, ale Stefa mówiła z taką pewnością siebie, że pomyślała: „a może".

— Co ci strzeliło do głowy z tymi kapeluszami?

— Oj, tak sobie!... może mi się to przyda.

Podeszła do miednicy — brrr... zimna woda! niech mama da ciepłej!

Skoro Stefka się umyła, matka podała jej śniadanie, złożone z białej kawy, nalanej do fajansowego garnuszka w kwiaty i dwóch bułek z masłem.

Stefa, zwykle obdarzona dobrym apetytem, dzisiaj jakoś bardzo niechętnie zabierała się do jedzenia. Upiła trochę kawy, ugryzła kawałek bułki i odsunęła kwiecisty garnuszek.

— Co to, nie jesz?

— Jakoś mi się nie chce.

— Chora może jesteś? — zaniepokoiła się matka.

— E nie! tylko mnie trochę głowa boli i jakoś w gardle piecze.

— Łączkowa podejrzliwie spojrzała na córkę. Stefa, czyś ty wczoraj wódki nie piła?

— Jaką tam wódkę — burknęła — mama wie, że ja wódki nie znoszę!...

Usiadła przed lustrem na starej wytartej trymudce i zaczęła ołówkiem robić sobie brwi. Łączkowa krzątała się po pokoju, sprzątając to i owo, jednocześnie rzucając w stronę córki badawczym wzrokiem.

— Stefka, ja ci mówię, ty się pilnuj. Nie zapominaj, żeś ty nie z byle jakiej familii, że twój ojciec był na uniwersytecie!...

Stary Łączka istotnie był służącym na uniwersytecie, czyli, jak się sam wyrażał, miał w swej opiece sale uniwersyteckie, co w mniej górnolotnem określeniu znaczyć miało, iż do stałych jego obowiązków należało zamiatanie tychże sal. Kilka razy w czasie uroczystości uniwersyteckich zastępował jednego z pedelów i przybrany w strój z pozłocistymi guzami, piastował z powagą berło. Te podniosłe chwile miała właśnie na myśli Łączkowa, kiedy przestrzegała córkę.

— Ty się szanuj! Bo twój ojciec przed samym rektorem i profesurami berło nosił.

— Proszę mamy teraz wszystkie profesory uniwesrytetu same dziady, teraz uniwersytet nic nie znaczy, tylko „hopy" i spryt!...

Łączkowa oburzyła się:

— A to co za głupie wymysły! uniwersytet, to jest uniwersytet! to se pamiętaj i pamięć ojca szanuj!...

Stefa, nakreśliwszy sobie brwi, podczerniwszy sobie oczy, smarowała kremem twarz, jako podkład do pudru.

— Czego ty tyle pieniędzy na te smarowidła wydajesz? I tak jesteś dziewczyna jak krew z mlekiem! Po mnie urodę wzięłaś! — dodała z dumą.

— Co się tam matka na tem zna — mruknęła Stefa i prowadząc dalej dzieło upiększenia, patrzyła dalej w niezbyt szlifowaną taflę zwierciadła. Po chwili obejrzała się na matkę; uderzyło ją to po raz pierwszy, że jest istotnie do tej nadmiernie otyłej kobiety o ciężkich ruchach, obwisłych piersiach i rozlanej trywialnie twarzy, bardzo podobna. Te same oczy, które u matki straciły już blask i wyraz kociej kokieteryi, te same usta i za szerokie i za wydatne, ten sam nos lekko zadarty, u Łączkowej obecnie potwornie rozszerzony i ten sam niezupełnie regularny owal, który u starej zatracił wszelki rysunek w pokładach tłuszczu i fałdach zwisającego ciała.

— Czyżbym ja tak kiedyś wyglądać miała — mignęła jej przykra myśl. Stefka nie należała jednak do natur, skłonnych do pesymistycznych rozmyślań, to też wnet uśmiechnęła się do swego wizerunku w lustrze.

— Co mi tam! tymczasem jestem ładna i mężczyźni na mnie lecą... Trzeba tylko mieć rozum!

— Zmiłuj się dziewczyno! Czego ty się dzisiaj tak wykokosić nie możesz? Jóżeś się do biura spóźniła.

— Biuro nie zając, nie ucieknie!

— Ale posada może uciec.

— Niech już mamę o to głowa nie boli.

— Dyrektora macie nowego. Podobno ostry?

— Aha!

— Rozmawiałaś już z tym nowym dyrektorem?

— Uhm!...

Stara postąpiła ku córce tak szybko i gwałtownie, że rozwiały się poły jej barchanowego w cegiełą kratę kaftana.

— Stefka, ej Stefka!... ja tam o tym dyrektorze to i owo słyszałam!... ty rozum miej i pamiętaj, że ty zamąż wyjść musisz.

— Niech się mama nie boi, jak ja zechcę, dziesięciu mężów będę miała!...

— Dziesięciu, ale jak?... niech tam już będzie jeden, ale po Bożemu, uczciwie z księdzem, z obrączką, z sakramentem! A może byś tak wzięła tego młodego urzędnika, co to za tobą tak łazi jak narzeczony. Dobry jakiś chłopczyna i posadę ma, byłby mąż z niego.

— Woźniewicz? dajże mi mama święty spokój z tym niedorajdą. Ja nie takiego warta.

— Mojaś ty, warta nie warta! ale on się naprawdę żenić chce, a to grunt. Inny ci będzie obiecywał złote góry i pójdzie z tobą wszędzie ino nie do ołtarza. Pamiętaj, Stefa.

Ostatniej przestrogi matki Stefa już nie słyszała, bo znalazła się już za progiem, w ciemnawej sionce. Zanim zdążyła wstąpić na schody, uchyliły się drzwi sąsiedniego mieszkania i wyjrzała z nich rozczochrana głowa starej, przysadkowatej kobiety.

— Dzień dobry pannie Stefci! panna Stefcia dopiero teraz do biura? O! moja Polcia już dawno poszła. No, ale jak się o trzeciej w nocy do domu wraca...

— A pani co do tego, kiedy ja do domu wracam? Pilnuj sobie pani swojej zezowatej Polci.

— A tobie wara do tego czy zezowata, czy nie zezowata. Ale porządna dziewczyna! czysta jak ta szklanka w źródlanej wodzie wymyta.

— Komu by się ją tam tłuc chciało — zaśmiała się Stefka — i zbiegła ze schodów, nie słuchając dalszych mamrotań sąsiadki.

Nie szła wcale do biura. W czasie wczorajszej „próby głosu" w magazynie mód „Madame Anna" Chaniewski oświadczył jej, że ma zrobić podanie o urlop z powodu choroby, a on tymczasem wyrobi jej engagement do operetki. Kombinacya ta najzupełniej odpowiadała Stefce, bała się jednak przyznać matce, znając jej poglądy na teatr i marzenia o ślubnej obrączce dla córki. Powie dopiero wtedy, kiedy już wszystko będzie zdecydowane, matka będzie się musiała pogodzić z faktem. Może się nawet wyprowadzi z domu. Chaniewski mówił przecież...

Jakiś lodowaty dreszczyk owionął ją na wspomnienie tego człowieka, który wyciągnął po nią rękę gestem wielkiego pana i zdobywcy, niedbale a rozkazująco i zmusił ją do posłuszeństwa bez jednego czułego słówka, bez jednego komplementu. Czuła właściwie niechęć ku niemu, ale nie ośmieliłaby się mu przeciwstawić. Zresztą potrzebowała go. On miał być dla niej środkiem do tej wielkiej karyery, o której roiła. Gniewało ją to wszakże, że ją traktuje tak dziwnie z wysoka i obiecywała sobie z czasem pokazać mu swoje pazurki panterki.

— Łysoń! stary!... myśli może, że ja sobie nim głowę zawrócę! oho! to nie zemną sprawa! Żeby on tak był do Króleckiego podobny to co innego. Niech ja się tylko porządnie w górę wygrzebię!..

Owionął ją mocny, a dyskretny zapach perfum paryskich „fleur de amour" i Stefa wciągnęła w nozdrza odurzającą woń i spojrzeniem, w którem malował się podziw mieszany z zazdrością, obrzuciła wysoką, piękną brunetkę w niezwykle eleganckim „drap" kostyumie. Ramiona brunetki spowijał błękitny lis, zupełnie taki, o jakim Stefa marzyła oddawna, wielkie brylanty w uszach ciskały snopy tęczowych świateł, jesienny ostatniej mody kapelusz otoczony był zwiewnym wianuszkiem prawdziwych „rajerów". Uwadze Stefy nie uszedł żaden szczegół ani wytworne harmonizujące z tonem kostyumu rękawiczki zapięte na guziczki z masy perłowej, ani wydłużony, lakierem obłożony bucik, ani przeźrocza osłonka jedwabnej pończochy. Znała tę kobietę z widzenia i z nazwiska, wiedziała, że to jest wybitna artystka dramatyczna i nieraz zazdrościła jej strojów, klejnotów i roju eleganckich adoratorów. Teraz i ona wstępuje na scenę i ona wkracza na drogę prowadzącą do posiadania takich wspaniałych butonów, automobilu i błękitnego lisa. O tem, że tamta góruje nad nią talentem, inteligencyą i zamiłowaniem do sztuki nie myślała wcale. Nie rozumiała tego. Dla niej scena przedstawiała się jako wystawa wdzięków kobiecych, które dopiero w tej oprawie należycie zabłysnąć mogą i znaleźć godnych nabywców. I tem silniejsza była od wielu, wielu dziewcząt wstępujących w zwodniczy blask teatralnych kinkietów, że nie niosła ze sobą obciążających tęsknot do sztuki i piękna, że nie marzyła o roli Ofelii lub Lady Macbet, ale zamierzała teatr uczynić służebnikiem swych bardzo realistycznych i zupełnie określonych dążeń i pożądań.

Stefa przypomniała sobie, że musi kupić pudru i karminu do ust. Weszła więc do wielkiej drogueryi, gdzie widniała imponującemi zgłoskami wymalowana firma: „Antoni Bąbel".

Wnętrze sklepu urządzone było z wyszukaną, nowiutką elegancyą. Sposób rozmieszczenia flakonów, ozdobnych kaset, pudełek, wazony z kwiatami na ladzie — wszystko to wskazywało, że przy urządzeniu drogueryi myślano troskliwie o tem, by pociągała klienta zewnętrznym estetycznym wyglądem.

Stefka, mając do załatwienia skromny zupełnie sprawunek, kazała przy tej sposobności pokazać sobie najdroższe pudry, kremy i najwykwintniejsze perfumy. Oczy jej błyszczały pożądliwością, gdy oglądała pięknie rżnięte flakony, napełnione paryskiemi i angielskiemi wonnościami.

Garnęła ku sobie formalnie te wszystkie kosztowne wyroby perfumeryi o odurzających zapach. Dziecko bruku i zepsucia miejskiego, nie odczuwała piękna przyrody i nie tęskniła za nią, wolała zawsze kwiaty aksamitne lub jedwabne od żywych, a wonie pachnideł upajały ją mocniej, aniżeli zapachy bzów majowych i świeżo rozkwitłych róż. Niby odaliska haremowa lubowała się w mocnych, oszałamiających woniach pachnideł.

— Ile kosztuje ten flakon? — zapytała, wskazując kryształowy flakon, subtelnie wyrzeźbiony z napisem „ambra". Subjekt wymienił kwotę, przewyższającą kilkakrotnie zasób pieniężny Stefki.

— A ten? — wzrok jej spoczął na wytwornej kasetce, zawierającej jakieś drażniące angielskie perfumy.

Okazało się, że te są jeszcze droższe. Stefka przycięła wargę zębami, zła, zdenerwowana jak zawsze, kiedy nie mogła zaspokoić jakiejś swojej fantazyi.

— Czy to ostatnia cena?

Wypomadowany, różowy, elegancki subjekt wzruszył ramionami lekceważąco. Pytanie wydało mu się niedorzecznem, budząc jednocześnie podejrzenie, że klientka ogląda tylko, a kupić nie ma zamiaru.

— U nas są ceny stałe, proszę pani — rzucił tonem nieco mniej ugrzecznionym.

— Coś jednak przecie opuścić można. — Stefka z namiętnością małomieszczanki krakowskiej lubiła się targować nawet wtedy, gdy o kupnie nie myślała wcale.

— Absolutnie nie, proszę pani — odpowiedź była już wyraźnie szorstka.

Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

— Wyjeżdża i niema mowy o rekonwalescencyi.

— Nie rozumię pana.

— Powiem zatem otwarcie, że mąż pani nie jest wcale powracającym do zdrowia, ale przeciwnie, ciężko chorym człowiekiem.

— Nic dziwnego, kiedy go męczą, nie dając mu spokoju ani w dzień, ani w nocy, kiedy mu dają jedno lekarstwo po drugiem.

— Mogę się spytać, co pani chce przez to powiedzieć?

— Czy pan nie wszedł do niego przeszłej nocy, żeby go zmusić do zażycia nasennego środka?

— Istotnie, dałem mu coś na sen.

— A to go nie uśpiło.

— Dlatego, że zanim zaczęło działać doznał wielkiego wstrząśnienia — rzekł spokojnie Isaacson.

Poruszyła się.

— Wielkiego wstrząśnienia?

Spojrzała na niego.

— W nocy po wodzie dźwięki dochodzą zdaleka. Czy pani to kiedy zauważyła — zapytał.

— Przeszłej nocy — ciągnął, kiedy się nie odzywała — zdało mi się, że słyszę coś dziwnego. Dałem rozkaz moim ludziom, żeby przestali wiosłować i słuchałem. Nie dziwię się, że środek nasenny, który dałem mężowi pani nie miał dobrego skutku. W tych warunkach mógł mu nawet zaszkodzić. Lecz żaden lekarz nie mógł tego przewidzieć.

Poruszyła się niespokojnie. Isaacson wstał i stanął przed nią.

— Będę mówił otwarcie — rzekł. — Przed pewnym czasem w moim konsultacyjnym gabinecie pani mi powiedziała dużo prawdy o sobie.

— Pan myśli...

— Wiem! Pani mi powiedziała wtedy, że jej jedynem pragnieniem jest użyć życia. Kiedy pani zamierza porzucić obecny sposób życia?

— Porzucić? Pan nie zrozumiał. Nigel był zawsze dla mnie dobry i byłam z nim bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli był dobrym, czy pani nie chce, żeby wrócił do zdrowia?

— Rozumie się, że chcę. Pielęgnuję go noc i dzień.

— I pani nie ma nawet pokojowej, którąby jej pomagała... pomimo, że wczoraj wieczorem dzwoniła na Hanzę, kiedyśmy tutaj siedzieli.

Spuściła oczy i skubała hafty na otomanie.

— Pielęgnowałam go, aż sama prawie straciłam zdrowie — rzekła machinalnie.

— Chcę właśnie zastąpić panią w jej zadaniu.

Zwróciła się twarzą do niego.

— Nie, pan tego nie uczyni! — rzekła — jestem żoną Nigla i to jest mój obowiązek.

— Pomimo tego jednak, zastąpię panią.

Kamienna stanowczość jego głosu wywarła na niej wielkie wrażenie.

— Od dzisiaj biorę całą kuracyę na siebie.

Mrs. Armine wstała. Spojrzała z góry na Isaacsona.

— Nigel pana nie zechce! — rzekła.

— Musi.

— Nie zechce, chyba, że będę sobie tego życzyła.

— Pani nie będzie sobie tego nigdy życzyła.

— Nie, nigdy!

— Lecz pani będzie udawała, że tego chce.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jeżeli pani nie zechce, poszlę nie po innego lekarza, lecz po policyę.

Upadła na otomanę, lecz wyraz jej się nie zmienił. Miał wrażenie, że uczyniła ze swej twarzy prawdziwą maskę.

— Pan nie chce chyba powiedzieć — rzekła w końcu — że pan myśli... że posądza... jednego ze służących... Ibrahima... Hanzę... Nie mogę w to uwierzyć! Nigdy nie uwierzę!

— Czy pani sobie życzy, żebym wyleczył jej męża?

— Naturalnie, że chcę, aby wyzdrowiał.

— A zatem proszę pójść do niego i powiedzieć, że pani mnie prosiła, żebym pozostał tutaj na noc. Nie mam zamiaru widzieć go dzisiaj. Zobaczę go, jak się jutro obudzi.

— Ale... on nie...

— Jak pani chce! Albo zostaję tutaj i biorę go w kuracyę, albo wracam do Edfu i jutro porozumię się z odpowiedniemi władzami.

Wstała zwolna.

— Dobrze, jeżeli pan jest pewny, że może Nigla wkrótce wyleczyć — rzekła.

Skierowała swe kroki ku drzwiom.

— Zobaczę, co na to powie — szepnęła wychodząc.

Tego wieczoru Isaacson posłał Hassana na Fatmę po potrzebne mu rzeczy, gdyż Mrs. Armine zdołała przekonać swego męża, żeby pozwolił się zbadać następnego dnia. Isaacson nie poniósł porażki, lecz kiedy się znalazł w jednej z elegancko urządzonych kajut, gdzie miał zażyć trochę snu, jeżeli to było możliwem, uczuł się strasznie, prawie nie do zniesienia zgnębionym.

Jakie będą... jakie będą musiały być skutki tego zwycięstwa?!

XVIII.

Isaacson zapytywał się w nocy jakie będą skutki jego zwycięstwa. Lecz kiedy dzień nastał, kiedy już miał iść do swej pracy, do pracy, która była jego życiem, pomimo, że czasem, w chwilach znużenia był skłonny tajemnie jej złorzeczyć, nie zadawał sobie pytań. Obowiązek był przed nim, obowiązek, w który mógł włożyć swe serce.

Na dawnego przyjaciela, który był gotów z powodu wielkiego osłabienia nie zważać na jego przyjaźń, a nawet odrzucić skuteczną pomoc, zapatrywał się, nie jak na człowieka, lecz jak na prawie zniszczone narzędzie, które musi naprawić i doprowadzić do dawniejszej doskonałości. Znał prawdziwą naturę, prawdziwą duszę tego człowieka, rozumiał, co je krępowało i schował swą dumę do kieszeni, uważając, że na teraz to najodpowiedniejsze dla niej miejsce. Lecz chociaż zwyciężył na jednym punkcie przez śmiałe wyznanie tego, co mu szeptała jego intuicya, pojmował dobrze, że, ażeby odnieść pełne zwycięstwo musi postępować ze stanowczością i chytrością. Z powodu kilku kropel krwi wschodniej, chytrość była w nim naturalniejszą, niż byłaby w innym człowieku, prowadzącym równie uczciwe życie.

— Jak na teraz Mrs. Armine została poskromioną, zmusił ją do posłuszeństwa. Uczyniła to, czego z całej duszy nie chciała. Lecz nie była kobietą, która ustaje w pół drogi. Przeklinała zarówno jak się bała Mayera Isaacsona i posiadała nieograniczony wpływ na męża. Jak mól pracowała w ciemności.

Isaacson nie wiedział, co o nim powiedziała Niglowi pomiędzy jego pierwszą, a drugą bytnością na Lonlii. Właściwie, mało go to obchodziło. Łatwo było odgadnąć w jaki sposób użyła swego wpływu. Isaacson mógł prawie słyszeć jak recytowała litanię jego względem niej przewinień, mógł prawie widzieć jej oczy, gdy szeptała insynuacye, którym chory wierzył... gdyż w stanie, w którym się znajdował musiał wierzyć we wszystko, co mu mówiła.

I na jedno jej słowo zgodził się na opiekę swego przyjaciela, którą na inne jej słowo gotów był odrzucić.

W rzeczywistości z głębi duszy wołał o silną rękę, któraby go wybawiła od zguby. Wierzył w Isaacsona, jako lekarza, chociaż bolała go bardzo niewątpliwa teraz jego nieufność do kobiety, którą rycersko wyniósł na tron.

Przyjął Isaacsona z dziwną mięszaniną wdzięczności i powściągliwości, oddał się w ręce lekarza z dziecinnem prawie zaufaniem, lecz trzymał się z daleka od otwartych ramion przyjaciela.

Jedna walka się skończyła, i skończyła się tak, jak Isaacson sobie życzył; teraz zaczęła się druga, cicha walka o wpływ na tego wielkiej wartości człowieka, który skutkiem swej cnoty upadł tak nisko.

Lecz przedewszystkiem powinien być lekarzem, a lekarz utoruje drogę przyjacielowi. Tak więc Isaacson przyjął powściągliwość Nigla inną powściągliwością, na pozór bardzo praktyczną, a przedewszystkiem spokojną.

Znalazł swego pacyenta ogromnie znużonego po drugiej złej nocy spowodowanej w części środkiem nasennym, zażytym w dzień. Pacyent z początku dość nieprzystępny wobec Isaacsona rozgadał się, kiedy rozmowa weszła na tory medyczne. Lecz po wyczerpaniu tego tematu popadł znowu w sztywność tak przeciwną jego prawdziwej naturze, że Isaacson miał wrażenie, że to inny człowiek, a nie ten, którego znał i cenił.

Mrs. Armine oczekiwała wyniku badania. Dr. Hartley wyjechał... właściwie uciekł... o wczesnej godzinie. W dziennem świetle jej twarz zdawała się jeszcze więcej zmienioną niż poprzedniego wieczoru. Lecz zachowanie się jej było chłodne i spokojne.

— Jakiż wyrok? — zapytała.

— Nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć. Mąż pani jest w stanie ogromnego osłabienia. Gdyby tak poszło dalej, skutki mogłyby być nie do naprawienia.

— Lecz pan go wyleczy.

— Miejmy nadzieję.

Stała, jakby czekając szczegółów. Lecz Isaacson nie dał żadnych. Po chwili milczenia rzekł:

— Przedewszystkiem trzeba go stąd zabrać.

— Zabrać go! Dokąd?

— Państwo mają zawsze wynajętą willę w Luksorze?

— Tak.

— Przypuszczam, że jest wygodna i dobrze urządzona?

— Bardzo dobrze!

— Wiem, że spokojna i stoi w ogrodzie.

— Pan ją widział?

— Tak, moja łódź była uwiązaną naprzeciwko zanim popłynąłem w górę rzeki.

— Ah!

— Może pani będzie tak dobra wydać Reisowi rozkaz zawrócenia do Łuksoru o ile możności najprędzej.

— Bardzo dobrze.

Cały jej obecny układ i zachowanie się były dziwnie obojętne. Przedtem była pełna nerwowego życia. Dzisiaj zdawało się, że ta żywotność ją opuściła.

— Powiem mu zaraz.

I nie pytając już o nic wyszła na pokład.

Wkrótce później powstał hałas, odezwały się wołania żeglarzy i Lonlia zaczęła płynąć z prądem na północ. Kiedy Nigel zapytał się o przyczynę, Isaacson mu odrzekł:

— To miejsce jest zanadto odludne dla chorego. nie można tutaj nic dostać. Będzie ci wygodniej we własnym domu i będę mógł lepiej tobą się opiekować.

— Wracamy do willi?

Tak.

— Cieszę się z tego — rzekł Nigel. — Nie mówiłem jej tego, lecz zacząłem nienawidzieć tej łodzi. Cała ta bieda spotkała mnie tutaj. Czasem... czasem czułem prawie, jak gdyby... Urwał.

— Co? — rzekł Isaacson ze spokojem.

— Jak gdyby było dla mnie coś fatalnego na Lonlii.

— W willi przywrócę dawniejsze siły i zdrowie.

— Czy rzeczywiście myślisz, że mogę kiedyś być zdrowym?

Isaacson milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Chcesz mi coś obiecać?

— Co?

— Chcesz mi obiecać, że będziesz posłuszny we wszystkiem, co powiem?

— Myślisz... jako lekarzowi?

— Tak.

— Obiecuję.

— To dobrze. Jeżeli dotrzymasz tej obietnicy, podejmuję się ciebie wyleczyć. Podejmuję się uczynić cię jeszcze najzdrowszym człowiekiem.

Łzy ukazały się jeszcze w oczach Nigla.

— Oby tak było.

— Lecz pamiętaj — rzekł Isaacson prawie uroczyście. — Oczekuję od ciebie bezwarunkowego posłuszeństwa dla wszystkich moich lekarskich rozkazów. A pierwszym z nich jest: nie weźmiesz do ust nic, co nie będzie tobie podanem przeze mnie, mojemi własnemi rękami.

— Lekarstwa... chcesz powiedzieć.

— Chcę powiedzieć to co mówię... nic; ani kawałka chleba, ani kropli płynu.

— A zatem moja żona i Hanza...

— Będziesz mi posłuszny? — przerwał poważnie Isaacson.

— Tak — odrzekł Nigel słabym głosem.

— A teraz leż spokojnie i myśl, że wracasz do swego domu, w którym doprowadzę cię do zupełnego zdrowia.

I Lonlia płynęła w dół rzeki zwolna, gdyż nie było wcale wiatru i powietrze było gorące.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

W chwili, gdy zabieramy się do obecnej kroniki, stoimy w przededniu przesilenia gabinetowego, raczej zaś ustąpienia Witosowego zespołu, który ma zrobić miejsce innemu.

Le roi est mort, vive le roi.

Niestety, tak zawołać nie możemy, gdyż dotąd nie wiemy, kto po panu Witosie zajmie fotel prezydyalny. Walka stronnictw rozpętała się w najlepsze, jedno drugiemu zarzuca wepchnięcie kraju w to bagno, z którego wyjścia znaleźć nie można, ale winnego niema, gdyż każdy z nich utrzymuje, że, gdyby się było poszło po jego myśli, dziś panowałyby u nas zupełnie inne stosunki. Czytając to, co piszą, i słysząc, co mówią, mimowoli przypominamy sobie Piłata, umywającego swe ręce, po wydaniu Chrystusa na śmierć. To jedno jest pewnem, że dni gabinetu Witosowego są policzone, ale i to nie ulega wątpliwości, iż trudno będzie znaleźć po nim następcę, gdyż nie każdy, choćby nawet był najbardziej spragniony władzy, zdecyduje się na to, aby Polskę ciągnąć z błota, w którem ją dotychczasowa nieopatrzna polityka naszych mężów stanu pogrążyła. Ponieważ każdy gabinet, aby się módz bodaj jakiś czas utrzymać, musi się opierać na większości sejmowej, a tą u nas zlepić tak trudno, zdaje się, że otrzymamy fachowy gabinet urzędniczy, na czem możemy wyjść bardzo dobrze. Przedewszystkiem będzie on bowiem „fachowy“, gdy dotychczas spoczywały teki przeważnie w rękach dyletantów, którzy bawili się w doświadczenia na żywym organiźmie państwowym. Z tych wiwisekcyi wyszedł on w takim stanie, iż się poprostu chce płakać, patrząc i oczom nie wierząc, iż do czegoś podobnego doprowadzić mogli ludzie, którzy, obejmując ster rządu w swe ręce, zapewniali głośno, iż jedynym ich celem jest *salus Reipublicae.* Tymczasem pokazało się, iż do swego zadania bynajmniej nie dorośli, o Rzeczpospolitą troszczyli się tyle, co o zeszłoroczny śnieg, a jedyną wytyczną były dla nich interesy partyjne i osobiste. Dzięki im zeszliśmy, do równorzędnej roli z Bolszewią, która jeszcze przed nami ma pierwszeństwo. Wewnątrz kraju mamy chaos, na którego usunięcie trzeba lat całych, zwłaszcza, że u nas każdy chce rządzić, a nikt nie chce słuchać rozkazów, na zewnątrz nie mamy żadnego znaczenia, nawet takie Czechy, będące stale przedmiotem różnych złośliwych dowcipów, zapędziły nas w kozi róg, a dr. Benesz został jednym z wiceprezydentów Ligi Narodów. Nazwaliśmy go swojego czasu żartem „małym Lloyd'em George'm w małej entencie“ pokazuje się jednak, iż nosi on na karku głowę nie od parady i umie chodzić koło interesów swego narodu, gdy my o swych dyplomatach i politykach tego, niestety, powiedzieć nie możemy.

Do czego zabiorą się nasi „wielcy w narodzie“, wszystko wiedzie się im, niczem cyganowi rola, strzelają głupstwa jedno po drugiem, nie starając się nawet wmówić w świat, iż to było mądrze obmyślane, nie udało im się jedynie z powodu fatalnego zbiegu okoliczności i przeszkód, jakie wytwarzają inne stronnictwa. To bowiem przyznać należy naszym politykom, że we walce z przeciwnikami nie przebierają w środkach i zupełnie ich to nic nie obchodzi, jak na tem wyjdzie ogół i jak się na te patrzy zagranica. Mieliśmy tego przykład i mamy dotąd w podjazdowej walce narodowej demokracyi, prowadzonej z całą zawziętością przeciw obecnemu rządowi. Być może, iż narodowa demokracya ożywiona jest jak najlepszymi chęciami, droga jednak, jaką sobie obrała jest zupełnie fałszywa. Mimowoli przychodzi na myśl ów małomiasteczkowy cyrulik, który podjął się uwolnienia pacyenta od trapiącego go tasiemca. Tasiemca wprawdzie zatruł, ale równocześnie i pacyent przeniósł się do wieczności, dawka trującego leku wystarczyła dla obydwu. Nie ulega kwestyi, iż, gdyby przypadkiem narodowa demokracya dorwała się rządów, inne stronnictwa odpłacą jej pięknem za nadobne, starając się spędzić tasiemca, bez względu na to, czy nie poniesie szkody ten, kto go w swem łonie żywi.

Jeśli otrzymamy urzędniczy fachowy gabinet, nie jest wykluczonem, iż w składzie jego mogą się znaleźć jednostki niezupełnie dorastające do swego zadania, gdyż na najwyższych stanowiskach urzędniczych nie brak różnych protegowanych, ale ogół daje większą gwarancyę popchnięcia naszej nawy państwowej na normalne tory, niż mógłby to w obecnych warunkach uczynić gabinet wyszły z łona Sejmu. Będzie to pewnego rodzaju złe konieczne, które jednak ułatwi zadanie następnemu gabinetowi, urzędnik bowiem przyzwyczajony do pracy, dołoży niewątpliwie w czasie pełnienia swych ministeryalnych funkcyi wszelkich starań, aby bodaj częściowo wyplenić te chwasty, które tak bujnie rozrosły się na naszych zagonach. A gdzie ruszyć, to tych chwastów pełno. Drwią sobie też z nas zagranicą, w boleśniejszy daleko sposób, niż dawniej z Czechów. Niedawno jedno z niemieckich biur telegraficznych doniosło, iż w Polsce od dwu tygodni stanęły koleje, podatków nikt nie płaci, urzędnicy zastrejkowali. A zagranica, czytając podobne „autentyczne“ wiadomości, dziwi się zupełnie słusznie, że się też tej Polsce zachciewa bawić w samodzielne państwo, skoro te próby muszą się smutno skończyć i to w bardzo rychłym czasie.

A komu tę opinię mamy do zawdzięczenia?... Przedewszystkiem tym, którzy stoją na czele rządu obecnego, a których tam sami wysłaliśmy. Zatem sobie samym podziękować musimy za to, co jest, a co powinno być dla nas nauką na przyszłość, aby losy swe i swego kraju składać w ręce odpowiednie, nie dać się omamić czczymi frazesami, lecz na swych zastępców wybierać ludzi wypróbowanych, dających gwarancyę, że staraniem ich będzie dobro *patriae*, a nie *partiae*. A sposobność do tego nadarzy się już jak się zdaje, w niedługim czasie, gdyż dotychczasowy Sejm Konstytucyjny, który uchwaliwszy Konstytucyę, stracił tem samem racyę bytu i powinien się był już rozwiązać, uczyni to niezawodnie w najbliższym czasie. Świadczy o tem wzmożona agitacya zwłaszcza wśród ludowców, przygotowujących się bardzo ostro do wyborczej kampanii, gdy natomiast inne stronnictwa zajmują stanowisko wyczekujące, a to ich wyczekiwanie będzie miało ten skutek, iż im znowu zdmuchną z przed nosa mandaty ludzie do tego niepowołani.

Mamy tu na myśli przedewszystkiem inteligencyę pracującą umysłowo, zepchniętą dzisiaj na plan drugi a może nawet i trzeci. Jeśli ona sama nie zajmie się swymi losami i nie postara o odpowiednie zastępstwo swych interesów w przyszłym Sejmie, może być pewną, że kto inny o niej pamiętać nie będzie. Troski życiowe nie pozwalają, co prawda, na żywsze zajęcie się tą sprawą, ale czas nagli, nie powinno się zatem spuszczać tego z uwagi, byśmy znowu nie wyszli, podobnie jak w r. 1919., jak Zabłocki na mydle. Bo i kogóż wówczas wysłaliśmy do Sejmu naprzykład z Krakowa? Pojechali, co prawda, panowie należący do najrozmaitszych stronnictw, cóż jednak zrobili dobrego dla ogółu? Dwa i pół roku było dla nich zamało na zdecydowanie się, aby złożyć sprawozdanie z swej działalności, te bowiem sejmiki, jakie ten i ów urządził dla swych „wybranych“, za sprawozdanie poselskie uważane być nie mogą. Swoją drogą nie mają się też wobec ogółu czem chwalić, jeśli bowiem co robili, to tylko dla stronnictwa, z którego wyszli, a potem dla siebie.

Obecnie trzeba się mieć zatem na ostrożności i nie zasypiać gruszek w popiele, byśmy nie otrzymali w Sejmie takiego zastępstwa, jakie wyszło z kartki wyborczej nr. 5., na której znalazł się tylko jeden właściwy przedstawiciel mieszczaństwa, a dwaj inni, to goście, pomieszczeni tam z grzeczności politycznej, gdyż inną drogą nie byliby się może do Warszawy dostali. A nie zapominajmy także, że nowa ustawa wyborcza nie liczy się bynajmniej z interesami inteligencyi miejskiej, lecz zdaje je na łaskę i niełaskę chłopstwa, tworząc okręgi wyborcze ogólne, a nie osobne miejskie i wiejskie, wobec czego mniejszość miejska musi zginąć w wiejskiej większości.

Ta większość już się do wyborów poważnie przygotowuje, niech zatem i mniejszość obudzi się wcześnie ze snu i zabierze do pracy, aby potem nie musiała sobie znowu powiedzieć, iż „mądry Polak po szkodzie“, jak to było w styczniu r. 1919., gdy wyszliśmy naprawdę z „kwitkiem“.

Jak dzisiaj rzeczy stoją, to jest w chwili przelewania tej części kroniki z kałamarza na papier, prezydent Witos zgłosił już oficyalnie dymisyę swego gabinetu, co jednak nastąpi do czasu, gdy kronika opuści uściski maszyny drukarskiej, to przewidzieć trudno. Narazie brane są pod uwagę rozmaite kombinacye, na premierów wysuwa się różnych panów np. Głąbińskiego, Dąbskiego, Rączkiewicza, Bobrzyńskiego mówi się także wiele o gabinecie fachowym, dziś przecież żyjemy w czasie niespodzianek, trudno więc przypuścić, co jutro przyniesie, a tembardziej, jaki będzie stan za dni sześć, to jest gdy *Nowości Illustrowane* znajdą się w rękach czytelników. Przez ten czas mogą się jeszcze zmienić ze trzy gabinety.

To jedno zaznaczyć musimy, iż list prezydenta Witosa do Naczelnika Państwa, zgłaszający dymisyę, uważamy za wysoce niepolityczny, jest bowiem poniekąd urzędowem stwierdzeniem wobec świata anormalnych stosunków, jakie u nas panują. O tem wie wprawdzie i zagranica, lecz teraz dopiero, może temu poświęcić słów kilkoro, opierając się nie na jakichś prywatnych doniesieniach, ale mając w ręku urzędowy dokument podpisany własnoręcznie przez pana prezydenta. Kto mu pisał ten list, sam on, czy też jakiś zaufany doradca, to mniejsza, w każdym razie jest on jednym dowodem więcej, że pan Witos na kierownika polityki zupełnie się nie nadaje. Listem tym przypieczętował on jeszcze dokładniej wszystkie swe błędy, jakie popełnił w ciągu rok przeszło trwającego zasiadania na fotelu prezydyalnym. Przepowiednia Wernyhory, którą przypomniał *Kuryerek* zyskuje jedno potwierdzenie więcej, że rządy chłopskie położą nas na obie łopatki.

Ale nie jest wykluczonem, że i Wernyhora mógł się pomylić, tak samo, jak ci, którzy twierdzili, iż wojna światowa usunie raz na zawsze wszelkie zbrojne zatargi między krajami i narodami i stanie się początkiem nowej ery, prawdziwie sielankowego ogólno światowego pokoju, w czasie którego międzynarodowe spory załatwiać się będzie bez rozlewu krwi, przy zielonym stoliku, lub... na boiska piłki nożnej. Obecnie mamy w Europie wprawdzie spokój, o ile nie przyjdzie do wojny między Austryą a Węgrami, widownią nieporozumień jest natomiast Azya, a częściowo i Afryka. W Azyi zaczyna się ruszać żółta rasa, naśladując w ten sposób białą, która rada byłaby teraz sobie odpocząć i bardzo jej z tem nie na rękę. Grecy biją się tam z Turkami, w Mezopotamii wre w dalszym ciągu, najgroźniej zaś przedstawiają się stosunki w Indyach, gdzie powstanie przeciw Anglikom wzmaga się z dnia na dzień. Na tem jednak nie koniec, gdyż pamięci Europy przypominają się murzyni i powiadają, że teraz na nich kolej i niech tylko Europa zamięsza się w Azyi w poważniejszy sposób w walkę z rasą żółtą, wówczas oni zabiorą się do pozbycia się nieproszonych gości z Afryki. A za takich, uważają przedewszystkiem Anglików, Francuzów i Belgów.

„Dobroczynne skutki wojny“, które dały się już dotąd nieraz we znaki całemu światu, dadzą się jeszcze nieraz odczuć zwłaszcza tym, którzy wojnę wywołali, a potem starali się porządkować stosunki powojenne. Bo, że Anglia dolewała stale oliwy do ognia i rozdmuchiwała antagonizm austryacko-rosyjski, temu nikt nie zaprzeczy, a tutaj należy szukać właściwego powodu wybuchu, którego źródłem była Serbia, zostająca pod wpływami rosyjskimi. Także i twórcy zasady samostanowienia narodów o swoim losie nie przypuszczali zapewne, że kują broń przeciw samym sobie. Stany Zjednoczone w pierwszej linii powinny odczuć to na swej skórze, kwestya murzyńska była bowiem od lat szeregu ich piętą Achillesową, a obecnie stanie się nią tembardziej, gdy Murzyni, jak zapewniają, zaczną się upominać o należne im prawa i ludzkie traktowanie. Z rasą żółtą ma już Europa dość kłopotu, gdy ruszy się do tego jeszcze i czarna, owo czarno-żółte niebezpieczeństwo może się stać bardzo groźnem dla dotychczasowych władców.

Niespodzianek mieliśmy już dość, czeka nas jeszcze więcej, a wejście życia na normalne tory opóźni w dalszym ciągu. Nikt z nas żyjących nie może spodziewać się, aby doczekać czasów, bodaj podobnych do przedwojennych, na które narzekaliśmy, a przecież dziś do nich wzdychamy i gorąco życzylibyśmy sobie ich powrotu. Nie dziesiątki, ale setki lat miną, zanim nastanie ogólny spokój i równowaga polityczna, o ile, oczywiście, nie ulegnie Europa swym nowym żółtym i czarnym wrogom, którzy niewątpliwie zechcieliby wówczas wprowadzić ład na swój sposób.

I mimowoli żal się robi człowiekowi tych biedaków, którzy kiedyś po latach będą zmuszeni uczyć się historyi powszechnej, o ile tymczasem nie obejmie świata ruch bolszewicki, kasujący szkoły, jako niepotrzebne. Z młodych lat przypominamy sobie, w jaki to kłopot wprawiały nas średniowieczne wędrówki narodów, które, nie mogąc usiedzieć na miejscu, pchały się coraz dalej w głąb Europy, a ciekawy profesor historyi dopytywał się ciągle, w którym roku w której się znajdowali okolicy. Od tych dat pękała głowa i niejedną się za nią „oberwało dwóję“. A stosunki obecne, wywołane wojną, są jeszcze bardziej zagmatwane, niż owe średniowieczne. Przyszły historyk będzie miał przed sobą otwarte pole do badań, na których ukończenie, choćby nawet bardzo pobieżne, krótkie życie ludzkie nie wystarczy. Taka naprzykład sprawa górnośląska stanowić może temat prawie nie wyczerpany, podobnych jej znajdzie się wiele, a wszystkie razem doprowadzić muszą do ostatecznego wniosku, że wojna światowa zmieniła wprawdzie mapę, przewróciła do góry nogami stary porządek ale właściwego celu nie osiągnęła. Bo celem tym miało być ułatwienie narodom swobodnego rozwoju w każdym kierunku, tymczasem dziś już widzimy, że utrudniła go w znacznej mierze.



Święto 26 pułku ułanów: Zwycięzcy w biegach podoficerskich i ułańskich, 1) Wachm. Pasternacki, 2) wachm. Spychalski, 3) st. ułan Wiśniewski.

hr. Hertlinga stanął między pierwszymi politykami Niemiec, występując stale przeciw wielkiemu sztabowi i domagając się rychłego zakończenia wojny. Był także przez pewien czas niemieckim ministrem skarbu.

Zamordowanie Erzbergera powitały niemieckie koła reakcyjne z żywem i nieukrywanem zadowoleniem, natomiast za granicą, szczególniej we Francyi, wywarło ono bardzo przygnębiające wrażenie, świadcząc jaki dziś duch zapanował w Niemczech.

Z państwa czerwonych carów.

Wiadomości, jakie nadchodzą z bolszewickiego raju, są tak bałamutne, iż gdyby się chciało zestawić tylko te, które jedno i to samo pismo podało w ciągu choćby tylko ostatnich dwóch miesięcy, należałoby przypuszczać, że Trocki, Lenin itd. dawno już nie żyją, tyle bowiem razy już ich zabijano, że Petersburg i Moskwa spalone do szczętu, kraj zaś cały zupełnie wyludniony, gdyż bolszewicy wymordowali swych przeciwników, ci zaś odpłacili pięknem za nadobne. Nie było poprostu tygodnia, aby na szpaltach naszych pism nie pojawiły się sensacyjne artykuły, opisujące dzisiejszy stan bolszewickiej Rosyi, wszystkie jednak pochodziły z pod pióra tych, którzy o tem słyszeli od innych, ale na to własnemi oczyma nie patrzyli. Zapowiadano zupełne bankructwo i likwidacyę ruchu bolszewickiego, a jednak on utrzymuje się dotąd, głównie dzięki terrorowi, jaki stosują czerezwyczajki wobec osobników, posądzonych o nieprawomyślność.

Po raz pierwszy dopiero spotykamy się z wiadomościami z tamtych stron zupełnie autentycznemi, pochodzącemi bowiem od jednego z francuskich komunistów, który powrócił właśnie z Rosyi, a sprawozdanie swoje poparł przywiezionemi fotografiami. Z rewelacyi jego wynika, że tak w Moskwie, jak i w Petersburgu wpłynęły rządy bolszewickie na zupełną zmianę stosunków, a kto znał te miasta przed wojną i chciałby porównać ich ówczesne życie z dzisiejszem, znalazłby tak kolosalną różnicę, iż poprostu nie wierzyłby sam sobie, że to ten sam Petersburg, jaki był przed laty zaledwie kilku. To, co się tam dziś widzi, to nie życie, lecz wegetacya, a na prowincyi dzieje się jeszcze gorzej. Drożyzna niezbędnych do życia artykułów przybrała takie rozmiary, iż na zapotrzebowanie się w nie zwykły śmiertelnik pozwolić sobie nie może. Inteligenci zwłaszcza znaleźli się w opłakanem położeniu, ostatnia nędza zmusiła ich do pozbywania się różnych cennych przedmiotów, zabytków dawnych lepszych czasów, za co uzyskują wprawdzie wysokie sumy, ale po to tylko, aby je zaraz wydać celem uchronienia się od głodowej śmierci. A za wszystko trzeba płacić tysiącami.

Rząd bolszewicki widząc, że stan podobny długo utrzymać się nie da, zaczyna powoli łagodzić swe dawniejsze metody, co jednak nie wpływa bynajmniej na powrót do normalnych stosunków, ludność bowiem ogarnęła dziwna apatya, mająca swe źródło w niepewności o jutro.



Z państwa czerwonych carów: Newski Prospekt w Petersburgu w porze najbardziej ożywionej.

Za czasów carskich żyło się pod grozą prześladowań ze strony policyi, której wysłannicy węszyli na każdym kroku za swemi ofiarami, dziś czynią to samo ajenci czerezwyczajki, których pełno na każdym kroku.

Dziwnie też przedstawia się dziś tak ludna i ożywiona niegdyś ulica, jak Newski-Prospekt w Petersburgu. Fotografia, zamieszczona w niniejszym numerze, przedstawia ją w chwili, gdy za dawnych najruchliwsze wrzało tam życie. Dziś pusto i cicho, jak gdyby po przejściu morowej zarazy. Do ożywienia ruchu nie przyczyniło się wprowadzenie wolnego handlu, sklepy niektóre wprawdzie pootwierano, lecz niema w nich co sprzedawać. Handel uliczny, tak w Petersburgu, jak i w Moskwie, jest nieco żywszy, brak jednak nabywców, których odstraszają niesłychane ceny. W jednem z pism spotkaliśmy się niedawno z wzmianką, że za funt kakao żądają do czterdziestu tysięcy rubli.



Ofiara niemieckich reakcyonistów: Maciej Erzberger, członek Sejmu Rzeszy i b. minister, zamordowany w Griesbach w dniu 26 sierpnia b. r.

Podobnie jak na ulicach, pustki także przerażające na dworcach kolejowych, na których dawniej trudno się było przecisnąć. Wpłynęły na to utrudnienia ze strony rządu bolszewickiego, zmuszającego do starania się o specyalne pozwolenia na przejazd, jak również i wysokie ceny biletów kolejowych, które dziś wynoszą po trzysta rubli za wiorstę. Poprzednio jeździło się darmo, lecz pozwolenia na przejazd nie wydawano.

Nie wyklucza to jednak, że w obu stolicach bolszewickiej Rosyi spotkać się można i to nawet dość



Z państwa czerwonych carów: Nowo zaprowadzony targ artykułów pierwszej potrzeby na „Trubnym Placu“ w Moskwie, miejscu dawnej sprzedaży ptaków i kwiatów.



Z państwa czerwonych carów: Dawny dworzec Mikołajewski w Petersburgu w chwili przybycia pociągu moskiewskiego.



Z państwa czerwonych carów: Uliczni handlarze papierosów, kwiatów i ciastek na „Placu Czerwonym" w Moskwie.

często, z wesołem życiem w pierwszorzędnych restauracyach i kawiarniach, gdzie „wybrani" bawią się doskonale przy dźwiękach muzyk, co dziwnie przykro odbija od tych tłumów wygłodzonych nędzarzy, zapełniających po brzegi cerkwie, aby uprosić Boga o odwrócenie głodu i zarazy.

Tak w Petersburgu jak i w Moskwie roi się od rozmaitych misyi zagranicznych. Jedne z nich przybyły celem niesienia pomocy wygłodzonym, większość ich przecież zleciała tutaj niczem kruki na żerowisko i na prawo i na lewo nawiązuje stosunki handlowe, wyzyskując na swą korzyść położenie. Prym w tym kierunku wiodą oczywiście Anglicy i Niemcy, którzy zaopatrzyli już Rosyę w niektóre artykuły ku wielkiemu niezadowoleniu paskarzy, cieszących się nadzieją, że ceny pójdą jeszcze bardziej w górę.

Komisarze bolszewiccy nie tracą nadziei, że uda im się utrzymać u steru rządów, trwogą napawają ich jedynie te wielomilionowe gromady zgłodniałego ludu, ciągnące w stronę Moskwy. Ale rząd bolszewicki ma na swoją obronę karabiny maszynowe, a jego agitatorzy uwijają się między ciemnemi masami, wskazując drogę na zachód, gdzie, wedle ich zapewnienia, znajduje się wiele żywności i łatwo ją zdobyć. W ten sposób ratują się czerwoni carowie, a równocześnie przygotowują ofenzywę na Polskę, która musiałaby paść pierwszą ofiarą szukających chleba i nie przebierających w środkach przy jego zdobyciu.

Do Rygi przybył z Moskwy Nansen, który wyjaśnił, że w Moskwie pertraktował z Cziczerinem, Krassinem i Kamieniewem w sprawie pomocy dla głodnych w Rosyi. Międzynarodowy Czerwony Krzyż i rząd sowiecki zawarły umowę analogiczną do tej, jaką zawarła amerykańska administracya pomocy z przedstawicielami sowietów. Siedzibą Międzynarodowego przedstawicielstwa Czerwonego Krzyża w Rosyi będzie Saratów, jako punkt najodpowiedniejszy do niesienia pomocy dzieciom. Władze sowieckie oświadczyły Nansenowi, że oddadzą Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi do dyspozycyi większe sumy. Dla zaspokojenia potrzeb głodnych trzeba co najmniej natychmiast półtora miliona tonn ziarna. Wedle Nansena, potrzeby Rosyi przewyższają znacznie możność wszystkich instytucyi dobroczynnych, które okazały gotowość udzielenia Rosyi pomocy. Jedyny ratunek widzi Nansen w udzieleniu Rosyi pomocy przez wszystkie rządy w postaci wielkich kredytów lub też produktów w naturze. Rząd sowiecki zwrócił się do Nansena z prośbą o wyjednanie u rządów państw obcych kredytu w wysokości 10 milionów funtów szterlingów. Do pertraktacyi w tej sprawie otrzymał Nansen od bolszewików jak najdalej idące pełnomocnictwa. W końcu wyjaśnił Nansen, że Francya pierwsza wyciągnie rękę do głodnych, których w samym okręgu nadwołżańskim jest około 25 milionów. Prasa łotewska atakuje Nansena za zbyt wielką lojalność podczas pertraktacyi z bolszewikami. Dzienniki przewidują, że współpraca amerykańskich komitetów Czerwonego Krzyża będzie niemożliwa i wzywają Nansena do zrzeczenia się mandatu komisarza organizacyi pomocy. Omawia ona obszernie sprawę likwidacyi komitetu dla głodnych w Rosyi. Zwinięcie tego komitetu dzienniki tłómaczą obawą bolszewików, aby nie utracili władzy. Bolszewicy natomiast motywują zwinięcie komitetu działalnością antyrewolucyjną członków komitetu.

W pismach zagranicznych ukazał się artykuł Radka, który w ostry sposób występuje przeciw kontroli państw obcych nad organizacyą pomocy dla głodnych w Rosyi. Radek dowodzi, że dopuszczeni do kontroli zagranicznej znaczy to samo, co pozwolić międzynarodowym kontrrewolucyonistom budować polityczną organizacyę dla dokonania później przewrotu politycznego na terytoryum Rosyi sowieckiej.

Amerykańska komisya kontrolna przybyła do Moskwy pod przewodnictwem pułkownika Williama Hachalla. Ma on przeprowadzić dokładną kontrolę stosunków w Rosyi i przygotować wszystko do rozpoczęcia bezpośredniej akcyi ratunkowej.

Izwiestija donoszą, że rząd sowiecki zaczął wysyłać głodnych z gubernii samarskiej na Murmań. Dotychczas wysłano do 10.000 osób.

Przedstawicielstwo amerykańskiej administracyi pomocy informuje prasę ryską o organizowaniu w Moskwie biura, które ma swego przedstawiciela w Piotrogradzie i angażuje pracowników wprost na miejscu. Amerykanie powołują do pracy bardzo nieznaczny procent osób z innych krajów.



Echa katastrofy nad Hull: Wyrzucone na brzeg rzeki resztki rozbitego Zeppelina.

Echa katastrofy lotniczej nad Hull.

Donosiliśmy już poprzednio o strasznym wypadku, jakiemu uległ jeden z największych współczesnych statków powietrznych, pociągając za sobą śmierć kilkudziesięciu ludzi. Ten kolos powietrzny, długi na jedną trzecią kilometra, o szerokości 28. metrów, o pojemności 91500 metrów kubicznych, zbudowany w Anglii na zamówienie Stanów Zjednoczonych, przeznaczony był do utrzymania stałej komunikacyi powietrznej między Europą a Ameryką. Wykończony w warstatach angielskich, znajdował się obecnie w fazie lotów próbnych, po których w najbliższym czasie miał nastąpić odlot za Ocean.

Zniszczony statek należał do typu balonów do sterowania, systemu Zeppelina, tem się odznaczających, iż posiadają zewnętrzną sztywną powłokę, wnętrze zaś zajmują balonety, wypełnione gazem. Statki tego typu, największe z dotychczas znajomych i na oko najbardziej nadające się do celów praktycznych, najczęściej przecież, dziwnem jakiemś zrządzeniem losu, ulegają katastrofom. Dało to swojego czasu powód jakiemuś humoryście do skomponowania wierszyka, który obiegł całą Polskę i dostał się i do nas:

„Od komina do komina
Leci balon Zeppelina,
Aż nareszcie pękła lina
Dyabli wzięli Zeppelina!
Niechby zresztą i żył szelma,
Byle dyabeł wziął... kogo innego".

Wówczas należeliśmy do państwa, pozostającego z monarchią Hohenzollernów w ścisłej przyjaźni, pobożne życzenie, kogo mają dyabli wziąć, musiało się zatem ze względów cenzuralnych kryć pod listkiem figowym.

Wedle nadesłanych obecnie z Anglii wiadomości, katastrofa lotnicza ponad Hull wydarzyła się w dniu 24 sierpnia. Statek, pozostający pod dowództwem porucznika wielkobrytyjskiej marynarki powietrznej, Wanna, opuścił swój hangar w Howden, ażeby dokonać próbnego lotu, który miał trwać 34 godziny do miejscowości Pulham, skąd miał później ruszyć do N. Jorku. Dzienniki angielskie tryumfalnie donosiły jeszcze w przeddzień, że okręt doskonale wytrzymał burzę; już zbliżał się do okręgu Norfolk, gdzie miał wylądować i czekał tylko, aż mgły gęste się rozejdą.

W chwili wypadku statek leciał ponad Hull, budząc swym wspaniałym kształtem i lotem podziw mieszkańców. Nagle przełamuje się na dwoje, przyczem następują dwie gwałtowne detonacye. Całe morze płomieni unosi się w powietrzu ku przerażeniu widzów, ażeby wnet spaść na miasto. Jednak zimna krew komendanta ocaliła miasto od katastrofy. Nie tracąc przytomności, z niezwykłą zręcznością skierowuje on okręt nad rzekę i tam pozwala mu opaść. — Na 49 pasażerów, którzy zajęli miejsca w łodzi, 18 Amerykanów i 31 Anglików, ocalało jedynie 5, między nimi komendant. Wśród ofiar katastrofy znajdował się komendant brytyjskich sił lotniczych Mitland. Przyczyną wypadku były niedokładności budowy. Odpowiedzialność konstruktora jest o tyle większa, że już poprzednie wzloty wskazywały na konieczność wzmocnienia szkieletu okrętu.

Koszta budowy wynosiły dwa miliony dolarów i już 75 procent tej sumy było uiszczone. Jednak kontrakt zastrzega, że w razie zagłady statku, straty pokrywa na równi rząd amerykański i przedsiębiorstwo.

Z przesłuchania komendanta statku wynika, iż w krytycznej chwili znajdował się on w łódce balonu. Gdy przepływali ponad Hull, usłyszał we wnętrzu balonu podejrzany trzask, łódka przechyliła się gwałtownie, a zanim miał czas doprowadzić ją do pierwotnego położenia, rozległ się ogłuszający



Echa katastrofy lotniczej nad Hull: Komendant statku por. Wann w towarzystwie uczestników wyprawy: kom. Maxfield, inż. Brie , por. Hayt (Ameryka), dr. Taylor.



Echa katastrofy lotniczej nad Hull: Szczątki rozbitego statku na mieliźnie rzeki Humber.

huk eksplozyi, a płomienie ogarnęły w jednej chwili cały statek. Wraz z łódką wpadł do rzeki, skąd go wyratowano i odstawiono do szpitala.

Z państwa Wielkiego Libanu.

Opinia francuska zajmuje się bardzo żywo kwestyą wschodnią, zwłaszcza zaś państwem Wielkiego Libanu, pozostającego pod wyłącznym protektoratem Republiki, której rezydentem jest tam jenerał Gourand. Dowodem tego bardzo liczne wzmianki, pojawiające się w prasie francuskiej, odnoszące się do tego nowego organizmu politycznego, wykrojonego z dawnego imperyum ottomańskiego.

Polityka francuska na Wschodzie zyskała w Wielkim Libanie ważny punkt oparcia, a zgodność jej z angielską każe się spodziewać, że interesy państw europejskich na terenie azyatyckim są zapewnione, a wszelkie zakusy Mahometan o zdobycie sobie napowrót utraconych ziem i przygotowanie odwetu dla rasy białej nie może liczyć na powodzenie. Potęga turecka złamaną została we wojnie światowej raz na zawsze i nic nie zdoła jej już powrócić do dawnego znaczenia.

Teraz też przypominają się światu czasy średniowiecza i te wysiłki, na jakie Europa zdobywała się, aby odebrać Ziemię św. z rąk niewiernych, posuwających się od Wschodu coraz dalej ku Zachodowi i już wówczas grożących Europie „żółtem niebezpieczeństwem," które w ostatnich dopiero czasach tak poważnie zaczęto brać w rachubę. Wyprawy krzyżowe nie osiągnęły pożądanego skutku, półksiężyc zagroził poważnie Europie, zapędy jego rozbiły się dopiero o mury Wiednia.

Aby to się nie powtórzyło, mocarstwa europejskie starają się usadowić silnie na azyatyckim gruncie i, jak dotąd, udaje im się to w zupełności. Zwłaszcza polityka francuska na Wschodzie rozwija się bardzo pomyślnie, a jenerał Gourand cieszy się wielką sympatyą nawet i wśród Mahometan. Stara on się bardzo o swą popularność wchodząc w ścisły kontrakt z miejscową ludnością i urządzając częste wycieczki po całym tym nadzwyczaj interesującym kraju, z którym wiąże się tyle wspomnień i pamiątek.

Illustracya nasza przedstawia pobyt jenerała Gouranda w Kala'at el Hosn potężnej fortecy, zbudowanej za czasów wypraw krzyżowych przez Braci Szpitalnych. Opuścili ją w r. 1271, mury jej dotrwały do dnia dzisiejszego, stanowiąc niejako pomnik tych bohaterskich zapasów, jakie tu stoczono.



Z państwa Wielkiego Libanu: Rezydent francuski, jenerał Gourand podczas zwiedzania fortecy z czasów wypraw Krzyżowych w Kala't el Hosn, zbudowanej przez Braci Szpitalnych w r. 1271.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożyła B. Szydłowska Radom.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego ministra

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Kraj na Bałkanie, 3. Pora roku 4. Gatunek psa, 5. Postać biblijna, 6. Imię starosłowiańskie.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Marek Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

a a a c
m m m n
o o o o
o r r r

Znaczenie wyrazów: 1. Jezioro alpejskie, 2. Jeden z kalifów, 3 Materya jedwabna, 4. Francuska kolonia zamorska.

Logogryf.

Ułożył Lloyd George, Kłaj.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda zdarzenie, mogące mieć wielką doniosłość polityczną.

■
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
— ■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w południowej Rosyi. 3. Imię żeńskie. 4. Owad, 5. Znany Japończyk, 6. Dopływ Wisły, 7. Egzotyczny przeżuwacz, 8. Zwierzę drapieżne, 9. Miejscowość w Afryce północnej, 10. Drzewo liściaste, 11. Rzeka w Afryce, 12. Dopływ Renu, 13. Rodzaj poezyi, 14. Członek najbliższej rodziny, 15. Polskie nazwisko szlacheckie, 16. Wykrzyknik, 17. Spółgłoska

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Harletta de Noirmont" (powieść tłómaczona z francuskiego), 2) Mjr. Stanisław Künstler: „Nasza ofenzywa sierpniowa".

Rozwiązanie zagadek z Nru 35

Trójkąt magiczny. Poznań, Omega, Zola, Noe, as, ń.

Zadanie do uzupełnienia: Lipa, teka, paka, żuaw, znak.

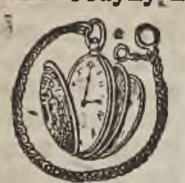
Grzebieniówka: Wino, n, imam, e, Bona, e, woda, z, Iran, ę, oyna, i, Epir.

Logogryf: Mekka, Pac, barka, San, kogut. Sem, Brody, era, Cygan, Nil, Kreta, Ewa, glina, Eck, Kazań.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: E Darowska, Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, A. Wrobel Tarnopol. K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń. J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, D. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, O. Niedziałkowska Kraków, R. Mąka Wolanka, T. Ullmann Kraków, B. Lindenberg Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) E Darowska Warszawa (powieść); 2) K. Wilczyński Stanisławów (Legendy). — **Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.**

Jedyny najtańszy dom handlowy



IGNACY CYPRES

Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 3000, Budzik z przedwoj. werkiem mk. 3000, Skrzypce ze smyczkiem mk. 7000 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 9000, dwurzędówka mk. 15000. Trąby akordeonowe mk. 2000, 2500. Dyamenty do szkła mk. 1000, 1200. Brzytwy mk. 500, 600, 700. Maszynki do włosów mk. 1500, 2500. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 250. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 2500, 3500. — Wysyłka za zaliczką. — Cennik illustrowany za nadesłaniem 20 mk. przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

ADMINISTRACYA

Nowości illustrow.

odsprzedaje klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom

przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik „Kupiec“ prenumerata kwart. M. 100 —
„ „Drogerzysta“ „ „ 72 —
„ „Przegląd włóknisty“ „ 72 —
Dwi „ „Dom gościnny“ „ „ 50 —

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem **2 Marek.**

Adres zamówień:

POZNAŃ, UL. WIELKA 19.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 100 Marek polskich.

Kołdry

na wacie, wełnie i puchu

oraz **materace włósienne**

poleca

PIERWSZORZĘDNA FABRYKA KOŁDER

M. PLESZOWSKI

Kraków, ul. Szewska L. 4. — Tel. 1351.

Księgarnia Dra Wł. Miłkowskiego

(Kraków, Floryańska 1.)

sprzedaje niewielką resztę egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:

Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. — Cena 60 marek.
Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. — Cena 120 marek.
Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. — Cena 24 mk.
Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. — Cena 48 marek.
Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. — Cena 36 marek.
Minister **Floryan Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). — Cena 24 marek.

Charakter. Przyślijcie charakter pisma, zakomunikujcie imię, rok, miesiąc urodzenia, ile osób najbliższej rodziny: otrzymacie od Szyllera-Szkolnika, psycho-grafologa (autora prac naukowych) szczegółową analizę charakteru, określenie ważniejszych zdarzeń życiowych. Odpowiedzi na szczere zapytania. Analizę wysyła się po otrzymaniu Mk. 300. Praca naukowa Szyllera Szkolnika zaszczycona mnóstwem odezw, podziękowań. Dla badań osobistych przyjmuje od dwunastej do siódmej. Warszawa, Psycho-Grafolog Szyller-Szkolnik, Piękna 25-12. Wątpiącym dowody bezpłatnie.

ZA MĄŻ wyjść lub się OŻENIĆ

można przez jedyne w Polsce pismo „Fortuna“. - Red. Kraków, Rynek gł. 11. Nr. 23 do nabycia we wszystkich kioskach, ajencjach pism i na stacjach kolej.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 80 marek

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“

„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

Do nabycia w całej Polsce

Cena egz. 30 Mk.

„BOCIAN“

Dwutygodnik humorystyczny

Do nabycia we wszystkich Ajencyach

Cena egz. 40 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Drukarnia D. E. FRIEDLEINA

Nowości Illustrowane

poszukuje ucznia z ukończoną II kl. gimn. lub realną (3 wydz.) do praktyki w dziale maszyn.

!! Kostjumy Płaszcze !!

Switki

Suknie spacerowe, futra, wierzchy do futer i podszycia futrzane

wykonuje najszykowniej.

Ceny bardzo przystępne.

JÓZEF GAŁĄSKA

Kraków, Floryańska 24. II. p.

„ANTONINA“

Pracownia kapeluszy damskich Kraków, ul. Floryańska L. 13 I. p. oficyny.
Sprzedaż: Kraków, ul. Floryańska L. 14., Hotel „pod Różą“ sklep p. J. Nowaka,

poleca na obecny sezon kapelusze w wielkim wyborze po umiarkowanych cenach.

KOŁDRY

puchowe na wełnie i wacie.

Materace włósienne i powijacze dla niemowląt.
Poduszki i pierze gęsie

poleca:

JEDYNA KATOLICKA PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

KRAKÓW

M. Matusiewicz, UL. POSELSKA L. 20.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.